

Pierwiastko

Przepis na uzależnienie

Przespaliśmy się już pierwszej nocy, w ciemno, z tęsknoty za bliskością i akceptacją drugiego człowieka. On pił mało alkoholu, ja – łąpczywie, częste łyki. Powinno być odwrotnie. Ponoć nie ma nieatrakcyjnych kobiet, tylko wina brakuje. Powiedział, że nie wie, czy jestem ładna, czy brzydka, ale intrygująca. Zdjął ze mnie bieliznę, jak uwalnia się baleron z obciskającego sznurka. Pożerał wzrokiem, podczas gdy ja zamykałam oczy zawzięcie. Znowu inaczej. On miał ciało, które można było podziwiać. Siedziało w nim coś na kształt destii, literówka po nocy w świetle lampki. Może intuicja? Więc nie bestii, jak zacznę sądzić, a czegoś diabolicznego? Nieostrzegalnego z poziomu fizycznego, bo przysłańiały „to” stalowe mięśnie. *Destiny* – przeznaczenie nas zetknęło. Spleliśmy się jak Eros i Tanatos, bogowie scalający pozornie przeciwstawne: miłość i śmierć. Obezwładniający mężczyzna miał ptasie oczy. Wodniste, rozcieńczone, ale władcze. Był bezpośredni i hardy. – Będziesz mi tu stroić fochy? – spytał, kiedy bałam się dać rozebrać. Och, nawet sama się nie stroję. Noszę luźne tuniki z lumpeksu.

Romans rozpoczął się w wychłodzonym: życiu, mieście, domu. Rozgrywał w bałaganie związanym z przeprowadzką. Niedawno kupiłam parter w skromnej kamienicy, powracając na ulicę Partyzancką, przy której mieszkałam w czasie studiów. Dom nie miał jeszcze ogrzewania gazowego, a współczesne kobiety nie wiedzą, jak palić w piecu. Same siebie średnio potrafią ogrzać. Budynki bez automatycznych kotłów grzewczych są trochę jak bez serca. Chłód panował na zewnątrz wokół, ale i w nas. Wtuliliśmy się w siebie już pierwszej nocy, skostniali, a lekkomyślni; jeszcze nie z fizycznego pożądania, lecz na skutek wyobrażeń. Szukaliśmy tego samego ciepła. Inaczej niż słynna Frytka, w którejś edycji *Big Brothera*. Tamta czatowała na poklask i sławę. Nas

nikt nie widział, nie słyszał. Frytki smaży się na oleju, na tłuszczu. Ten jest we mnie. Dlatego też nie mogłabym rozebrać się publicznie. Re-prezentuję odmienny kanon urody. Coś we mnie siedzi, co każe jeść. Głodny, chłonny pierwiastek, wkłada mi do ust drażetki czekoladowe. Pomyślałam, że spotkaliśmy się po to, aby sobie pomóc. Ludzie tłumaczą świat prywatnymi legendami, lubią nadawać sens zdarzeniom. My znaliśmy się tylko tydzień. Przez siedem dni stworzyliśmy naszą Ziemię przez komunikatory, telefony i niedopowiedzenia.

Ten przystojny, wysoki mężczyzna przyjechał do Poznania na pogrzeb matki. Przesłał mi wcześniej jej zdjęcia na WhatsAppie. Siwa, krępa, źle ubrana, szara pani – jak większość waszych matek po osiemdziesiątce. Nie moja, bo ta pani zmarła młodo, pozostając atrakcyjną. No i po części nie była moją matką. To znaczy dokładnie – przekazała mnie swojej doświadczonej rodzicielce. Dała na przechowanie, aż dorosnę, z przerwami na wspólne święta i wakacje. Tak to się składa, kiedy nie uda się odgryźć pępowiny i ciągnie do ołtarza alkoholika. Nieważne.

Dominujące mogą stać się inne kościelne uroczystości – związane z moim pogrzebem. Wtedy nie wiedziałam, że naiwne i niefrasobliwe decyzje tak bardzo zbliżają do śmierci. Umieramy milimetr od spełnienia, rozproszeni szczęściem. Morderca czyha w słońcu nierozpoznany. Bagatelizowałam znaki. Tropiłam destrukcje, sama stając się celem psychopaty.

Człowiek, który rozkładał szeroko ramiona, by tulić mnie w chłodnym łóżku, miał na imię, nazywał się... no, powiedzmy po prostu, Ner. Niech tak na razie zostanie. Pracował w Berlinie, sprzątał w ekskluzywnej restauracji. To było niegorsze, bo lubił: dobre kawy, wojskowy szyk i porządek. A także smacznie zjeść. Wiadomo, kiedy Polak nienasycony, to zły. Głodny jak wilk i może pożreć. Posiłki dostawał w ramach premii. Poznał nas Facebook, zaproponował mu dodanie mnie do znajomych. Miałam sto siedemnaście zaproszeń, w tym od niego.

Napisał przy tym: *Alicja Guba, witam, przyjrzałem się Twoim wpisom. Zaintrygowałaś mnie.*

Siebie też ostatnio – odpowiedziałam spontanicznie, na luzie. Był daleko, był nieznajomym. Nie był tym człowiekiem, za którym tęskniłam. Cóż,

puszyste osoby mają mniejsze spektrum wyboru, więc lepiej nie urywać od razu dialogu.

Odzew Nera był szybki:

Witam. Rozumiem, że nie zaakceptowałaś zaproszenia. Nie chcesz? No nic, nie przeszkadzam.

Nie zauważyłam – odparłam szczerze.

Podobnie tłumaczyłam się babciom: Przepraszam, nie dostrzegłam progu i wylała się zupa. Wtedy jednak kłamałam, bo chciałam się odchudzać. Dawniej, w małych miejscowościach na krańcu cywilizacji uważano, że dzieci krępe są zdrowe. Lepiej, żeby: *Brzuch pękł, niż Boży dar się zmarnował. Zanim gruby schudnie, to chudy umrze.* Nie akceptowano diety, była fanaberią jak wegetarianizm. Kury zabijało się cyklicznie w sobotę; siekierą, z głową na pieńku, na rosół.

Teraz mówiłam do wirtualnego człowieka prawdę. Pozwalam sobie na szczerość. Opuściłam psychozę: co pomyślą o mnie inni? Oprócz tej nieco nadmuchanej strefy ochrony terytorialnej, pomiędzy mną a światem, to znaczy nadwagi, poradziłam sobie świetnie z dawną sobą. Kiedy patrzę na stare zdjęcia z podstawówki czy liceum, to widzę inną osobę. Rysy twarzy tamtej łączą ją tylko delikatnie ze mną aktualną. Z wiekiem staję się ładniejsza. Tamta przechodzi do lamusa. Jest tak nieobecna, że pomału znika.

Teraz Ty wyślij zaproszenie – zażądał Ner, anulując swoje.

Zrobiłam to. Niech ma, jeśli poczuje się lepiej. Jaki drażliwy – pomyślałam. No i tak – my, nieznajomi, zostaliśmy znajomymi. On w Berlinie i ja w Poznaniu nad ekranem. Bez kamerek internetowych, ale widział moje zdjęcia. Nie ukrywam siebie, nie retuszuję fotografii. Niektóre kadry są zresztą jak performance. Staram się ludziom coś przekazać. To takie foto-opowieści.

Serio!, zaintrygowałaś mnie. Zobacz mój profil, może też Ciebie zaciekawię, Alicja. I nie obawiaj się. Nie jestem kolejnym chłopcem, co widzi na przykład tylko Twoje... balony.

Alicja. Piękne imię... Bardzo muzyczne – pisał. – Chcę cię poznawać, zaprzyjaźnić się. Czy coś więcej się zdarzy? Wszystko zależy od nas.

Snuł plany?

Tymczasem ja bałam się momentu, kiedy naprawdę będzie dobrze,

bo po każdym śmiechu nadchodzi płacz; tę „prawdę” wtłaczano mi w domu. Zjebany skrypty rodzinny.

Pisał tak, jakby mu nie przeszkadzało, że przy innych standardach regulaminów wewnętrznych musiałabym płacić za nadbagaż na lotnisku, gdyby ludzi traktowano tam jak walizki. Stałyby dwie wagi: na przedmioty oraz kobiety i mężczyzn. Dzieci, wiadomo, są relatywnie lekkie, nawet te utuczone. Niektórzy obrotni pasażerowie nie mogliby już zakładać na siebie trzech płaszczy, swetrów czy szalików na odprawie celnej.

– O, pani musi trochę dopłacić – mówiłyby do mnie beznamiętnie stewardesy-modelki czy poważni pracownicy straży granicznej.

Tymczasem metalowe ptaki wzbijają się ponad chmury pełne tolerancji. Zarząd lotniska nie ingeruje w sprawy tak intymne, jak obciążenie foteli w klasach: ekonomicznej i biznes. Tu, na Ziemi, bywało gorzej.

– Ej, gruba! – wołały dzieci. – Idź do taty, niech cię poprawi.

W dzieciństwie byłam przerażona i zawstydzona tymi insynuacjami. Zastanawiałam się, skąd one wiedziały, te obce bachory, bo z nikim się przecież nie przyjaźniłam, że ojciec uczestniczył w akcie tworzenia mnie po pijaku. I dlatego pewnie spierdolił jak półkę i kafle w wakacyjnym domu.

Dopiero później zrozumiałam, że dzisiaj obraża się innych bardzo powierzchownie. Te dzieci z podstawówki nic nie wiedziały o moim tacie i nie chciały niczego zrozumieć. To tylko taki stary zwyczaj osądzania po pozorach. Właściwie wylewasz frustrację jak pomyje i patrzysz, kogo zmoczą do łez.

Tak, w dzieciństwie dopłacałam wiele za swój nadbagaż masy. Za odmiennność. Teraz odpuszczam sobie przejmowanie się – tym.

Nazywam się Guba. „R” – to tutaj taka zguba. Jakby było, można by, mówiąc do mnie po nazwisku, równocześnie mnie opisywać. Dla wielu szablonujących dorosłych czy ich młodych latorośli przyklejających etykiety to naprawdę takie proste. Zresztą nawet bez tego „r” często omija mnie wiele fajnych rzeczy: romanse, radość, rodzenie, rodzicielstwo, rekreacja, relaks, rozbujanie, rozczulenie, rozgrzanie, rozkochanie, rozkraczenie, rozneglizowanie, rozpalenie, rozwiążłość, ratunek

i reszta. Ręce męskie nie suną po mnie, czyniąc rytuały rozgrzewające. Równocześnie to utracone „r” może być nadzieją, że kiedyś zgubię balast przeszłości, nagromadzony w formie nadwagi. I złych wspomnień. Na razie nauczyłam się ich nie celebrować. Kiedyś na terapii powiedziałam, że moje dzieciństwo nie było takie kiepskie, bo inni mieli gorzej. Ale terapeuci pomogli mi uświadomić sobie, że wcale nie było dobrze. Tylko dzieci automatycznie kolorują świat.

Ranek.

Pik, pik – odgłos paczki liter w okienku i zielone światło Messengera.

Kawa podana! – pisał Ner i wysyłał dwie emotikony filiżanek.

Dziękuję – odpowiadam. Sama nie lubię powielać tych dennych obrazków, substytutów kaw.

Co u ciebie? – pyta nieznajomy-znajomy z Berlina.

Od pewnego czasu niewiele śpię, dużo kofeiny w ciągu dnia. Remontuję dom, a później jadę popracować w poradni. Dni wypełnione po brzegi, może jeszcze zdążę chwilę poczytać.

Zostaw mi numer telefonu, mijamy się tutaj, na komunikatorze.

Wysyłam. Sieć Orange.

OK, dziękuję. Obiecuję nie przeszkadzać zbyt często. Jeśli nawet nie wytrzymam i zadzwonię zaraz, to tylko na chwilę, by przywitać się, a później pogadamy dłużej. Dobra? Działaj i nie zapomnij, że wspieram. Porób foty, chcę cię dziś zobaczyć całą. Zwykle zdjęcia, prawdziwe – pisał i oswajał.

Oswoić to znaczy: przyzwyczaić do kogoś lub do czegoś, także przyzwyczaić dzikie zwierzęta do przebywania wśród ludzi lub do służenia im. Intuicyjnie czułam obawy. Rozwiewał je.

Alicjo, po prostu korespondujemy ze sobą. Rozmawiajmy i dbajmy o znajomość, a będzie okej. Pewnie jesteś jeszcze w wyrku. Masz dobrze, ja zaraz startuję do roboty. Dzwoni, kiedy tylko chcesz. Możesz zawsze. Pytaj, pisz o Sobie, od Siebie.

Zaczął pierwszy. Wysłał jpg o średniej rozdzielczości, ale za to on wysoki, ponad metr osiemdziesiąt pięć, bez nadwagi, dobrze umięśniony. Miał szare oczy drapieznika. Niebezpieczne jak zmierzch, tylko przez chwilę dominujący, więc zakompleksiony. Deprecjonowany blaskiem dnia i spychany czernią nocy. Ale wtedy zwracałam uwagę na inne szczegóły. Nie na oczy.

Wydajesz się silny na tym zdjęciu.

Barczysty? Tak, życie nie było łatwe, ale daję radę – trzeba. Wiem, co to znaczy samotność; niech trwa proces. Wierzę, że chociaż masz dużo spraw, to jednak nie będziesz pojawiać się i znikać, jak teraz. Oczywiście, nie wypominam, że jesteś tak rzadko dostępna, rozumiem. Alicja, po prostu dbajmy o siebie i rozwijamy znajomość! – nalegał. – Pa, do zobaczenia.

Po prostu, czyli otwarcie, bezpośrednio, szczerze, nie komplikując. Określenie to wydaje się jego ulubionym zwrotem. Używa go często w konwersacji. Tak się mówi powszechnie. Niemniej niewiele jest prostych spraw. Przypomina mi się obietnica z *Transerfingu rzeczywistości*, iż uzyskujemy te rzeczy i sytuacje, które trwale opanowują nasz umysł. Myśli wracają jak bumerang. Czyli zagmatwanie i chaos są w naszych głowach. Globalne pogubienie. Czyżby zbyt wiele elementów pożądamy z tej układanki zwanej codziennością? Tymczasem w zbiorze ksiąg Zelandy, których ideę wykorzystałam do powołania Fundacji, zauważono, że wszystko, co wielkie, jest bezgranicznie proste, nie musi mizdrzyć się ani ukrywać. Tak było już w baśniach. Lampa Alladyna to szary, blaszany imbryczek, a Graal wcale nie został wykonany ze złota. Teraz my te baśnie oblepiamy badziewiem niczym nowobogaccy swe gigantyczne – skrzypiące z poczucia brzydoty – wille. Zazwyczaj to, co puste czy bezużyteczne, ukrywa się pod przykrywką ważności i niedostępności.

Po prostu, wtedy, przyjechał do Poznania. Zmarła matka, którą pochowano rano, i jednonocna kochanka, czyli ja – były z tego samego miasta. Niezły zbieg okoliczności. Na cmentarzu miał posągową twarz. W domu straszły go demony wyrzutów sumienia. Od dziesięciu lat mieszkał w Berlinie, nie był przy rodzicielce w czasie, kiedy ciężko chorowała. Wyznając mi to, bezwiednie, z nerwów, zgniótł szklanekę drinkówkę pełną whisky z colą.

– Ner, uważaj! – krzyknęłam. Ekskluzywny Ballantine’s spłynął ze stróżkami krwi. Zdezynfekowałam mu dłoń. Powiedziałam, żeby nie miał do siebie pretensji, bo to już nic nie pomoże.

– Oduś sobie.

Szybko go przekonałam. Nie był introwertykiem, złości nie trzymał

w środku.

Tej nocy byłam dostępna. Szczera. Odważna. Po prostu nie komplikowałam.

Może dziś nie chcę tego dobrze pamiętać, ale wiem, bo wtedy na świeżo powiedziałam do Ester, mojej duchowej siostry, kilka zdań:

– No, nawet żałuję, że pojechał, wiesz. On jest taki, że nie zamierza tylko brać. I jeszcze mówił, ale gadanie to gadanie, wiemy, że ważne są czyny, a seks z kobietą oznacza, iż trzeba troszczyć się i dbać o nią. To mnie przekonało do otwarcia się. Mózg lubi uzasadnienia.

Po nocy z nim dodałam:

– Od rana myślę o seksie.

– Trzy skojarzenia? – spytała Ester zewnątrznie, zupełnie inna. Szczupła blondynka z głową pełną loków.

– Siła, ekscytacja, tajemniczość.

– Całkiem nieźle – skomentowała wtedy. Wcześniej uważała, że Ner ma niebezpieczne oczy. Nieprzewidywalne i niezrównoważone.

– Tylko ty do niego nie jedź! – ostrzegła. – Może jest jakimś dokarmiaczem i zamknie cię w piwnicy, aby jeszcze utuczyć i gwałcić. Zacznie wypasać jak krowę.

– Daj spokój – urwałam.

– To dlaczego inni faceci sugerowali ci dietę, a ten tylko się zachwyca? Łączy nas w przyjaźni kurewsko ostra szczerość.

Milczałam.

Diler ciepła, którego w tę noc nie reglamentował, wrócił do Berlina i napisał:

Teraz po prostu jesteś już moją dziewczyną.

Przeraziło mnie to. Przypomniałam sobie, że jestem przecież zakochana w kimś innym, ale powinnam o tym nie pamiętać. To wydaje się nie mieć przyszłości – mówiąc eufemistycznie. André był moim terapeutą. Trochę straszy, przepraszam, starszy, bardzo mądry, ale jak na terapeutę mało empatyczny. Chyba że się nie znam? A może faktycznie trzeba szybko burzyć nieprawdziwe konstrukcje wspomnień i uwarunkowań, aby tworzyć nowe. No nie, intuicyjnie się z tym nie zgadzałam. Zabiegi na duszy trzeba wykonywać w białych rękawiczkach.

– Dziwnie dorosłaś – twierdził.